

Idalia Zyłowska

Wilno, Zwaigzdziu 38-52

I/1507/2kw

© ARCHIWUM WSCHODNIE

### Wojenne dzieciństwo w Wilnie.

Pamiętam bardzo wyraźnie słoneczny, ciepły dzień 1-go września, dzień rynekowy i ten gliniany dzbanuszek za 1 zł., kupiony na mój użytek, już nie zabawka, a poważna, dorosła rzecz. Właśnie wracany z rynku bardzo zmęczona, bo jednak Łukiszki (rynki odbywały się nie przed a za kosieleń/od Zakretu, gdzie mieszkaliśmy są dość daleko, a dla 8 letniej dziewczynki bardzo daleko, gdy nad nami i wokół nas rozlega się niesłychanej mocy wybuch. Co to może być, chyba nie wojna - nie, nie mówi ciocia. Po kilku przyśpieszonych krekach spotykany p. Kazaneckiego, który zapewnia nas: wojna. Wien tylko, że trzeba śpieszyć do domu, że będzie coś strasznego, ale co? Pan Kazanecki, ojciec pięciorga dzieci i właściciel sadu z którego kupowało się jabłka, miał bardzo wysoką żonę i był trochę komunizujący, a ponieważ nie bogaty, przychodził codziennie wieczorem na gazetkę (Słowo) i twierdził, że wojna jednak będzie, czynił wrogów wśród sąsiadów, którzy woleli spokojne życie w naszej półwiosce przy Zakrecie. Dzbanuszek rozbiła szybko Babcia i podobnie miał to być znak, że się wojna szybko skończy. Tymczasem było jak dawniej, na podwórku politykowane, a my bawiłyśmy się w klasy. Nawet chłopcy ganieli piłkę i trochę flirtowali ze starszymi koleżankami, których byłam powiernicą. Starszy trochę Janek w zielonej pelerynie pojawił się później, był bardzo grzeczny wobec dziewcząt i szanowany przez chłopców. Nie grał z nimi w piłkę, tylko prowadził krótkie, tajemnicze rozmowy. Prędko zniknął, ale był zawsze oczekiwany.

Któregoś dnia wbiega do nas zdenerwowana sąsiadka: "bolszewicy na nas idą" i mdleje.

Dopiero wieczorem Ciocia mnie objaśniła, co to znaczy bolszewicy i od razu przestałam się bać, dziwiłam się naiwności sąsiadki. Później zaczęły dzwonić okna we wszystkich pokojach, jakby kto stukał w nie zgiętym palcem. Co to - to idą bolszewicy i bardzo daleko strzelają. W nocy strzelali bliżej i wyglądało to tak, jakby ziemia wydawała głębokie westchnienie. Nie śpię, mówię mamusia, że taka bufonada i objaśniała, że to tak ma niby, żeby wyglądało, że ktoś na nich napada. Na gazetkę zbierało się teraz więcej panów i pań bez mężów, lub po mężach, a mówiło się już nie o bolszewikach, a o Litwinach, że są powolni, rezwazni i nie śpieszą się czemuś do ukochanego Wilna. Niechby już przyszli ze swymi salcesonami, wdychali mężczyźni. Znowu mi objaśniono, że Wilno to była stolica Litwy i że Litwini choć nie śpieszą, to zajmą Wilno. "Stolica"; "Litwa" - tego w pierwszej klasie nie przechodziłam i wyobraźnia moja obejmowała tylko postać p. Daniłowiczewej - krawcowej, którą wszyscy nazywali "Litwinką". Ten kostiumik szyłam u

u Litwinki - mówiła jakaś pani. Pani Litwinke-zwracaliśmy się z największym szacunkiem, myśląc, że to jej nazwisko. - Dlaczego mnie tak nazywacie? Moje nazwisko Danilewicz. - Słyszałyśmy o podwójnych nazwiskach, więc mówiliśmy "Pani Litwinke-Danilewicz", czy Pani się cieszy, że Litwini idą?" "Pewnie, że się cieszę" - "A czemu tak dłużej idą?" Myślała, że z niej kpimy, a my z całkowitą szczerością i zaciekawieniem. Aż przyszli. Zanim ich zobaczyłam pojawił się mały lit. Wydawał mi się ładniejszy od złotego. Wydał mi się ładniejszy od złotego i było mi z tego powodu przykre. Później żał mi było kochanych starych złotych, które lit wypierał. Umierająca "Czarna babunia" oddała mi swoje metalowe oszczędności: kilka srebrnych dziesięciozłotówek. "Są już bezużyteczne, ale może kiedyś zrobisz z nich bransoletkę". Pewnego dnia spotkałam litewskiego policjanta, tego "kałakutasa". "Nie podchodź blisko do mojej pistoletowej pałki" - uprzedzały koleżanki. Ale mnie interesował złoty słupek na czapce, a policjant uśmiechnął się i pogroził palcem. Po tym doświadczeniu trudno dawałam wiarę o tych bójkach po kościełach i innych wypadkach. A jednak głębokie zakorzenione poczucie "patriotyzmu" powiedziało mi, że Litwin to wróg. "Bij Litwina" - wołała moja spragniona atrakcji dusza (jakkż wszystkie dzieje siękoło mnie, niewidzialne). I rozpoczął się akcja chuligana saneczkowego. Nasza góra była bliżej brany dwupiętrowa, prawie łysa. Litewskie dzieci wraz z opiekunkami prędko musiały zrezygnować z tej wygody i przeniosły się na gęsto zalesioną i nie wyszlizganą górkę ustawioną pod kątem prostym do naszej. Miałam świetne saneczki, podobne jeszcze mojej mamusi, krótkie, mocne ekute i szybkie. Zabawa polegała na tym, by odbić się od ziemi w chwili, kiedy litewskie dziecko już ruszyło w dół, wykierować, wycołować i uderzyć w sanki "przeciwnika". Robiliśmy to pojedynczo i grupowe. Ja byłam w tym najcelniejsza, miałam uczucie tryumfu, zwycięstwa. Dziś pozwolę sobie przypuścić, że takie uczucie na lotnik zbijający wrogiego samolot. No cóż, z latami bywa coraz mniej skromna. "O to" wskazywały na mnie starsze panie Litwinki - "ta mała z rozdartym płaszczem, jest najzacieklejsza". Raz w życiu byłam zaciekle i nie wiem jak ta cecha ze mnie wyparowała. Po tym była Nijele i "Dulczynejs" i jeszcze "Fain". Nijele miała długie, jasne warkecze, była cicha i spokojnego charakteru. Była w wieku starszych koleżanek i to nie omieszkały ją zapytać o inię: Nie Jela? Dlaczego nie Jela, a Nijela? Co te za inię? Czy chcesz się z nami bawić? Nijele trechę mówiła po polsku i prędko stała się modną, dziewczynki chciały w niej zdobyć przyjaciółkę. A ja nie mogłam wymyślić na nią żadnego przezwiska w rodzaju "Jeż, Perz dziki zwierz" i odczuwałam z jej strony niechęć, pewnie z powodu saneczkowych wyczynów. Popularność Nijeli prędko skończyła się gdy zainteresowały się niąwstrętne chłopski. Ale wtedy zaczęła rzadko wychodzić z domu i rzadko ją widziano. Minęła nieskończoność i miałam

zaszczyt uczyć się z jej młodszą siostrą na uniwersytecie in. Kapsu-  
kasa. Była bardzo sensowną dziewczyną. Tej zimy, kiedy ptaki zanarze-  
ły w locie, woda w wisdrze, a termometr za oknem, jak w najgorzszym  
gatunku dyktator, trzymał nas w mieszkaniach zakutanych w ciepłe  
swetry, chusty i kołdry, wynajęła u nas pokój Litwinke z prawdziwe-  
go zdarzenia o wykupisastych oczach i bardzo przy kości. Była to młoda  
dziewczyna z zakwieńskiejskiej wsi, prześmiesznie wyrażająca się po polsku  
stałe wymieniając "ch" na "k". Pracowała jakąś tam urzędniczką i  
uczyła się w szkole wieczorowej. Jej litewskie dyktanda, do których  
zakradaliśmy się po kryjomu, były pełne czerwonych błędów. Ciocia,  
nie wiem dlaczego, nazywała ją naszą Dulcyną. Z tego to powodu nie  
zapamiętałem jej imienia. Ale w czasach Dulcyny znalazł się w naszym  
domu chleb i nawet masło. Jedno z najszcześliwszych wspomnień w moim  
dzieciństwie. Pół bochna wiejskiego chleba wennego, ciepłego, który  
mogą kroić bez noża i smarować żółtym masłem. Niestety bał ten trwał  
jeden wieczór, a później postne żytnie zacierki, prażuchy, krupnik  
z rebakami i ciągłe: "co by to zjeść"?!! Ach, jeszcze jeden smakołyk  
tej surowej zimy. Dostałyśmy z siostrą cioteczną całego litra na dwie.  
To na bułeczki z parówką. Bułeczka nacięta, parówka i treszeczka  
musztardy. Obiegłyśmy prawie całe miasto w poszukiwaniu tego przys-  
maku, wszędzie napotykałyśmy wózki z już wyprzedanym towarem, tylko  
pod Ostrą Bramą udało się. Byłyśmy tak przemarznięte, że z trudem  
utrzymywałyśmy ostygły skarb. Nie pamiętam kiedy wyprowadziła się  
Dulcyna, jej pokój zajął ~~pan~~ ciemnowłosy pan Fain o wiśniowych  
oczach. Otworzył w naszych dwóch pokojach tak zwane "dopouprawienie".  
W "sweim" gabinecie powiesił wielki portret Stalina, a w drugim po-  
koju oczekiwali przyjęcia nasi sąsiedzi. Przechodzili przed speker-  
niskimi ludźmi jak nadęta kania, bo wiedzieli, że będą prosić cie-  
cie o wstawiennictwo. ~~xxxxxxx~~ Za ścianą wisiał Stalin, a w na-  
szym pokoju ciocia przetrzymała portret Piłsudskiego. Fain spojrzał:  
"a znasz tego człowieka z gazet, z politinformacji." Za te ja tego  
necarza z wąsikami nie znałam. ~~xxxxxxx~~ Uczyłem się już wtedy  
w 3-iej klasie, w szkole nr 7, gdzie były wspaniałe korytarze do za-  
baw w węże. Opsada szkoły była litewska, ale wszyscy mówili po polsku  
z dziwnym akcentem. Nad tablicy znikł krzyż i pojawił się wianek  
z kłosów z gwiazdą u góry. Ale była stołówka, o której myślało się  
bez przerwy w ciągu trzeciej lekcji. Zupka była rzadkawa, ale ciepła  
i z kawałkiem chleba. Czasem dostawało się "dobawki". A pewnego  
jesiennego dnia wychowawczyni obdarzyła nas tajemniczym uśmiechem  
i wydała po dwa cukierki od Józefa Stalina. "Od Stalina i tylko dwa"  
podkpiwali chłopcy wypychając policzki komunistyczną słodyczą w dwóch  
egzemplarzach.